

Przedmowa

Naprawdę był to tylko ciasny boks czytelnicy, lecz myślami znalazłem się w pokoju Amalii. Ściany pokrywała fioletowa tapeta, okna zasłonięte były podwójnymi firankami. Zasłony otulały także łóżko. Gdy w połowie XIX w. większość argentyńskich domów musiała się zadowolić glinianą polepą, włoski dywan Amalii był tak gruby, że człowiek miał wrażenie, iż stąpa po poduszkach. Ze wszystkich stron odcięto dopływ dziennego światła, kaprysy pogody zostały za drzwiami, przyrodę odrzucono całkiem, jeśli nie liczyć bladzielonego deseni na tapecie, „który przedstawiał grę światła wśród ulotnych obłoków”¹.

Dzięki zainteresowaniu krytyków mieszkanie Amalii jest chyba najczęściej odwiedzonym literackim lokum, choć zamieszkująca je kobieta była cnotliwa. Łatwo ujrzyć jej pokój, bo Jose Mármol opisał go dokładnie w swojej wielkiej powieści z 1851 r.; książce, która – jak się zwykle mówi – położyła kamień węgielny pod chwalebny tradycję argentyńskiego powieściopisarstwa. Czytałem ją sobie tego ranka, zanim wziąłem się do zamierzonej porcji pisania.

Podobnie jak wszyscy ówczesni mieszkańcy Buenos Aires, Amalia chciała czegoś dowiedzieć. Miasto było wówczas pograniczną stolicą; Argentyna jako taka ograniczała się do ujścia rzeki, pampa była jej lennem. Przyroda onieśmielała; każdy widok – czy to na rzekę szeroką jak morze, czy na olbrzymie jak ocean morze, czy wreszcie na równinę tak rozległą, że zdawała się nie mieć końca – był zbyt bezkresny, tak daleki, że rozmywał się we mgłę ślepoty. W odległości stajania żyli ludzie nazywani przez obywateli dzikusami. Tu, aby być przekonującą, cywilizacja musiała być przesadna.

Nie wszyscy ludzie dążący do statusu cywilizowanych otaczają się aż tak grubym kokonem, zamykają tak dokładnie okiennice i oddzielają tak stanowczo przyrodę od przestrzeni mieszkalnej, jednak cywilizacja jest w istocie produktem tego, co nazywam „efektem Amalii”. Tworzy własny habitat. O stopniu jego ucywilizowania decyduje odległość dzieląca go od naturalnego, nieprzekształconego otoczenia. Co wyzwała efekt Amalii? Nie instynkt, bo niektóre jednostki, a nawet całe społeczności są go pozbawione – ale impuls lub drażniący bodziec, który jest niemal uniwersalny i któremu, jak zechcą wykazać dalej, żadne nadające się do zamieszkania środowisko nie jest w stanie się oprzeć.

Historia to raczej właściwe ludziom hobby niż nauka w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa. Przeszłość nie jest już dostępna naszym zmysłom; możemy ją poznać tylko poprzez cudze spostrzeżenia i wrażenia. A jednak człowiek stanowi element zadziwiającego kontinuum przyrody i można go poznać tylko wraz z jego środowiskiem, siecią ekosystemowych zależności, w którą jest uwikłany. Ta książka jest historią przyrody, z której nie wykluczono człowieka. W odróżnieniu od dawniejszych prób stworzenia porównawczej historii ludzkich cywilizacji, uszeregowane zostały one nie chronologicznie, a według zajmowanych przez nie środowisk. Moim celem było dopro-

wadzenie do zmiany sposobu myślenia o cywilizacji: przedstawienie jej raczej jako relacji między jednym z gatunków a jego naturalnym otoczeniem zaadaptowanym tak, by mu służyło – a nie jako fazę w rozwoju społecznym, proces zbiorowego samoulepszenia, punkt szczytowy progresywnych dziejów, ani też jako synonim kultury na dużą skalę lub doskonałości będącej udziałem elit. Nie staram się narzucać nowej definicji staremu światu. Przeciwnie, formułuję na nowo tradycyjną zawartość słowa „cywilizacja”. Użyte poprawnie, sugeruje pewien typ środowiska, lecz sens ten zagubił się przywołony hałdą błędnej retoryki, spod której trzeba go wreszcie wydobyć.

Zaden sposób podzielenia świata na odrębne środowiska nie jest w pełni zadowalający. Geografowie lubią przedstawiać je w wersji nieprzekształconej przez człowieka i grupować w naturalne ekosystemy. Większość takich prób kończy się wyróżnieniem trzydziestu lub czterdziestu głównych klas. Człowiek jest jednak częścią natury. Zdominował większość ekosystemów, które współtworzy. W tej książce wykorzystałem schemat oparty na cechach środowiska mających bezpośrednie odbicie w rzeczywistych doświadczeniach ludzi tworzących cywilizacje. Jakkolwiek zwięzłym starałbym się go uczynić, każde środowisko zawiera szeroką gamę habitatów i nisz. Kryteria krzyżują się i nakładają. Istnieją pustynie z poziomem opadów równie wysokim jak w wielu lasach. Aluwialne równiny występują prawie na każdej szerokości geograficznej. Temperatura, gleby, wielkość opadów, wysokość nad poziomem morza, położenie względem rzek, jezior lub mórz, bliskość gór, wiatry, prądy morskie – wszystko to są zmienne, które mogą sprawić, że środowiska zaliczone do tej samej kategorii mogą się bardzo między sobą różnić, a nawet, w niektórych przypadkach, wykazywać bliższe pokrewieństwo z inną klasą. Stopień odizolowania lub wydolność środków komunikacji może powodować tworzący nową jakość efekt „przeskakiwania” gór i „kurczenia się” mórz.

Jednakże analiza otoczenia przyrodniczego nie wystarczy do odkrycia wszystkiego, co istotne. Jednym z wniosków wynikających z niniejszej książki jest to, że kluczowe znaczenie mają granice: cywilizacje najlepiej się czują, siedząc na nich okraciem lub zajmując obszary będące mozaiką mikroklimatów, o zróżnicowanych glebach, rzeźbie terenu i zasobach. Natomiast kultura kształtuje się niezależnie od środowiska. Migranci nieraz trzymają się jej uparcie w zaskakująco nowych światach. Bliskość i stosunki z sąsiednimi kulturami mogą podnieść poziom wiedzy i znacząco zmienić życie danej społeczności. Cywilizacja rozprzestrzenia się przez ludzi – na przekór i wbrew barierom środowiskowym.

W każdym razie klasyfikacja środowisk nie jest nauką ścisłą. Po serii eksperymentów wybrałem podział, który (jak mi się wydaje) najlepiej funkcjonuje w praktyce. Czytelnik spostrzeże od razu, że typy środowisk będące podstawą konstrukcji tej książki nie są nieciągłe i wzajemnie rozłączne, ani też wewnątrznie homogeniczne. Wiele cywilizacji zostanie przyporządkowanych więcej niż jednemu środowisku. Niektóre zaczynają swój byt w jednym, a kończą w części lub w całości gdzie indziej – na skutek migracji, wyparcia lub ekspansji.

Choć moje kategorie oparte są ogólnie na systemie podziału biosfery przez geografów, wynalazłem też parę własnych. Zaden geograf nie uzna np. małych wysp za spójny typ środowiska. Ale w kontekście historii cywilizacji taka klasyfikacja jest zasadna, ponieważ są przypadki, kiedy bliskość morza przeważa nad wszelkimi innymi naturalnymi czynnikami kształtującymi modalność społeczeństwa. Analiza dziejów Wenecji i Wyspy Wielkanocnej zyskuje na ich frapującym zestawieniu. Środowiska górskie również tworzą ryzykownie niedookreśloną kategorię, zależną od względnego osądu, nie zaś od obiektywnych kryteriów. Położenie Tybetu przenosi jego cywilizację do świata

innego niż irański, ale oglądanie ich razem daje pewne korzyści i pozwala poczynić pewne spostrzeżenia. Kiedy Skandynawię rozpatruję razem z Fenicją, a Dakotów opisuję obok Scytów, nie twierdę bynajmniej, że te nietuzinkowe tandemy trzymają się ogólnie uznanych kategorii, oświadczam natomiast, iż mają dla mnie wyjątkowe zalety. Żaden sposób wyboru i segregacji materiału nie zaowocuje dokładnie tymi samymi wnioskami, nie podkreśli tych samych analogii i nie skłoni do wysunięcia tych samych tez.

Przedmiotem każdej części tej książki jest pewien typ środowisk. Rozpaczynam od ziem mroźnych i bezwodnych – tundry i tajgi, pustyń, suchego skrubu – dlatego, że większość ludzi uważa je za wrogie cywilizacji. Część druga traktuje o trawiastych równinach, które oparły się pługowi bądź zniechęciły rolników niedostatecznym nawodnieniem lub szczególnie oporną darnią. Trzecia rozprawia się z dobrze nawodnionymi środowiskami mokradel, tropikalnych nizin i lasów polodowcowych. Dopiero po zwiedzeniu tych niegościnnych miejsc poświęcam rozdział równinom aluwialnym, od których zaczyna się większość konwencjonalnych historii cywilizacji. Następnie udaję się na tereny nazwane przeze mnie górskimi, co należy przyjąć jako termin roboczy i nie nadać mu wartości absolutnej. Dalej zajmuję się środowiskami sąsiadującymi z morzem – kolebkami żeglarskich cywilizacji na małych wyspach i wąskich wybrzeżach. Włączam tu wszystkie przypadki, w których morze wydaje mi się dominującym elementem ekosystemu w zakresie związanym z dziejami cywilizacji, niezależnie od innych jego cech z wyjątkiem prądów i wiatrów. Końcową kategorią jest samo morze – środowisko, które nigdy nie stało się domem cywilizacji, ale które zmuszało cywilizacje do wysiłków, gdy chciały je przekroczyć. Migracje, ekspansje, wchłanianie lub przekraczanie nowych obszarów pojawiają się na każdym etapie tekstu, ponieważ każda cywilizacja rodzi się w specyficznym środowisku, lecz niektórym udaje się wyjść ze swej kolebki i zająć inne.

Z tego wszystkiego wypływa nieśmiały wniosek, że cywilizacja może pojawić się wszędzie. Przesąd, iż niektóre środowiska wyjątkowo jej sprzyjają, nie jest bardziej uzasadniony niż twierdzenie, jakoby niektórzy ludzie byli bardziej produktywni od innych, a pewne rasy charakteryzowały się pewnymi określonymi skłonnościami. To prawda, są warunki, w których cywilizację trudniej jest wyżywić, ale żadnemu nadającemu się do zamieszkania środowisku nie udało się w pełni oprzeć ludzkim staraniom, by przekształcić je z myślą o własnych celach. Gdy przeglądamy je kolejno, talent do cywilizowania wybija się to tu, to tam na całym świecie, a jego koncentracja uderza najbardziej w miejscach tradycyjnie niedocenianych przez historyków cywilizacji. Najambitniej korzystali z przedindustrialnego stepu mieszkańcy Afryki. Najbardziej kreatywni architekci bagien pojawili się w obu Amerykach, i to na długo przed przybyciem białego człowieka. Europejczycy celowali w cywilizowaniu lasów strefy umiarkowanej – głównie przez ich wyrąb lub wypalanie – ale w pozostałych typach środowisk ich dokonania, porównane bezpośrednio z osiągnięciami ludów innych części świata, przedstawiają się mizernie.

W różnych miejscach na świecie podobny ekosystem inspirował do różnych reakcji i rozwiązań. Historia cywilizacji jest zatem uwarunkowana naturalnym środowiskiem, ale nie jest nim zdeterminowana, mimo że ma ono potężny wpływ i tendencję do faworyzowania pewnych rozwiązań. W istocie nie znam dowodu na to, by jakiegokolwiek z ludzkich doświadczeń zebranych razem pod szyldem „historia” było czymkolwiek zdeterminowane. Studia, którym poświęciłem prawie całe życie, pozostawiły mi przekonanie, iż doświadczeniami tymi rządzi przypadek w obrębie granic zakreślonych przez

mieszankę siły woli i krytycznych wymogów materialnych. A kto wie, może nawet występują chaotycznie, w sposób, którego przyczyn i efektów nie da się prześledzić. Zapewne stwierdzenie, że różnice w adaptacjach podobnych środowisk są kwestią kultury, jest zarówno prawdziwe jak i użyteczne. Olbrzymim nadużyciem jednak – nie tylko naciąganiem dowodów, lecz wręcz ich przeinaczaniem – byłaby teza, iż niektóre części świata lub szczególne wzorce spuścizny genetycznej karmią kulturę ze specjalnym powołaniem do cywilizacji.

Starałem się pisać tę książkę, nie ograniczając z góry ani jej zasięgu, ani grona czytelników. To eksperyment i nie powinien być traktowany jako summa, lecz raczej jako szkic – choć bowiem sążnista, praca ta jest krótka w porównaniu z innymi próbami ujęcia historii cywilizacji. Jest ona również postulatyczna, z założenia ryzykowna, z gruba ciosana i pod pewnymi względami bezprecedensowa; napisana po to, by wzbudzić dyskusję, a nie zachęcać do potakiwania. Pracowałem nad nią trochę jak w gorączce, spiesząc zapisując to, co chciałem powiedzieć, nim umknie z pamięci. Nie ukształtowałem jej dojrzały namysł (choć krążyłem myślami wokół tego tematu od wielu lat). Nie miałem pomocników do kompilacji materiału; tylko nieliczni specjaliści przeczytali tekst, wyrazili o nim opinię lub się od niej powstrzymali. Muszę zatem polegać na czytelnikach, by wytknęli mi, gdzie zbłądziłem. Ale to wszystko ma jedną zaletę: książka jest owocem jednolitej koncepcji urzeczywistnionej upartym wysiłkiem jednego umysłu. To dobrze, gdy przedmiot jest tak obszerny i trudny do ogarnięcia. Zamierzyłem sobie studium porównawcze, ale chciałem też powiedzieć coś konkretnego o wielkiej liczbie różnych cywilizacji. Omawianie wszystkich, żeby żadnej nie potraktować po macoszemu, byłoby nużące; próba wyłowienia w każdym przypadku bezspornych faktów zakrawa na beznadziejną. Najważniejsze fakty są w każdym razie dobrze znane i jako takie niewarte powtarzania. Dlatego też, omawiając kolejne cywilizacje, zwykle wolałem kreślić ich ulotne obrazy lub próbować spojrzenia z niecodziennej perspektywy niż bawić się w drobiazgowy opis. Tam, gdzie przywołuję cywilizacje mało lub zgoła wcale nieznane – jak Aleutów lub Battamalibów – albo też niedoceniane – jak Fucien lub Fulanów – zawarłem w tekście więcej podstawowych faktów (czytelnicy, którzy to wszystko wiedzą, proszeni są o wyrozumiałość). Proszę też nie oczekiwać, że będę równie elokwentny w stosunku do wszystkich miejsc odwiedzanych w tej książce i wszystkich ludzi, którzy przewiną się przez jej strony. Przytoczyłem więcej dowodów, konkretnych źródeł i literatury dodatkowej, niż to jest przyjęte w dziele tej objętości – nie po to, żeby popisać się erudycją, lecz by czytelnicy mogli sami się przekonać, gdzie posiadana oraz zgromadzona przeze mnie wiedza szwankuje. Jak zwykle przeskakuję od szczegółu do ryzykownych uogólnień, na przemian brnąc w zaspach i stąpając po cienkim lodzie. Wydaje mi się to wszakże lepsze od siedzenia w igloo.

Odchodząc od sposobu, w jaki zwykle rozumiana jest cywilizacja, staram się nie osądzać społeczeństw według listy cech uznanych za „cywilizowane”. Nie nadaję im też rangi „bardziej” lub „mniej” ucywilizowanych powodując się subiektywnym osądem ich dzieł sztuki lub sposobu myślenia. Zamiast tego – ponieważ cywilizację postrzegam tu jako rodzaj stosunku między człowiekiem a przyrodą – stopień ucywilizowania danego społeczeństwa mierzę skalą jego własnej kreacji.

Mój prywatny stosunek do cywilizacji waha się między miłością a nienawiścią. Jestem podobny do Amalii. Mimo że spędziłem całe życie w Anglii, nigdy nie nauczyłem się przedkładać natury nad kulturę, jak rzekomo przystoi czcicielom wiejskiego życia, sportów na świeżym powietrzu, weterynarii, spacerów przy złej pogodzie i ogrodów imitujących naturalny krajobraz. Lubię, kiedy moje nogi dzieli od gleby asfalt

lub gładka kamienna płytką. Wieś mogę podziwiać z dala, przez okno gabinetu albo w ramie na ścianie. Ku rozbawieniu, a także irytacji rodziny i przyjaciół chowam się przed przyrodą w ubraniach sztywnych od krochmalu i w kanciastych pomieszczeniach (najchętniej spełniających uznane matematyczne proporcje). Wzruszają mnie ruiny, widzę bowiem w nich rany odniesione przez cywilizację w przegranej walce z naturą. Z drugiej strony jestem pełen podziwu, a nawet czci, dla mądrości dziczy, i w równym stopniu poruszają mnie rany zadane przyrodzie przez człowieka.

Mimo odosobnienia, w jakim pisałem tę książkę, zaciągnąłem pewne długi, do których muszę się tu przyznać (nie próbując przy tym zrzucić z siebie winy za własne pomyłki). Wiele zawdzięczam życzliwym cenzorom mojej angielszczyzny, choć nie ze wszystkich dobrych rad skorzystałem. Moja proza utyka na szczytach aluzji. Namawiano mnie, bym pisał jaśniej, bo część czytelników ich nie wychwyci. Moim zdaniem jednak literatura bez drugiego dna nie daje radości czytania; prawdziwy smaczek potyczki z pisarzem polega na rozszyfrowaniu niektórych aluzji i przyznaniu się do porażki w przypadku innych. Celem aluzyjnego pisarstwa jest wywołanie skojarzeń i odczuć w głębi umysłu, a niekoniecznie komunikowanie ich otwartym tekstem. Część więc dań, którymi raczę tu czytelnika, podana jest *sauté*; inne zaś trzeba wyłowić z sosu. Poza tym rozwijanie aluzji jest swego rodzaju imperialistyczną *jeu sans frontières*. Nie ma już czegoś takiego jak powszechny zasób wiedzy; każdy z nas jest zdumiony ignorancją reszty świata. W kazaniu, którego wysłuchałem dziś rano w kościele (tego dnia, gdy to piszę), ksiądz mówił o „marzycielach wolności, Martinie Lutherze Kingu i Stevie Bironie z Afryki Południowej”. „Długopis mu się omsknął!” zażartowałem do ucha siedzącej obok młodej koleżanki. Zastanawiam się teraz, czy w ogóle wiedziała, kim był choćby Martin Luther King. Poeta westchnąłby: „Où sont les nègres d’antan?”

Zaproszenia na wykłady dały mi okazję do przetestowania pomysłów zawartych w dwóch ostatnich częściach książki. Dziękuję za nie (w kolejności, w jakiej były wygłaszane wykłady) Instytutowi Studiów Politycznych (Institut Kajian Dasar) w Kuala Lumpur, Wydziałowi Historii i Studiów nad Kulturą Hiszpańską, Portugalską i Latinoamerykańską uniwersytetu w Princeton; Uniwersytetowi La Trobe; Konferencji z okazji pięćsetlecia słynnej podróży Vasco da Gamy zorganizowanej przez uniwersytety La Trobe i Curtin; Wydziałowi Historii na Uniwersytecie Harvarda; Ośrodkowi Badań Humanistycznych oraz Studiów nad Kulturą Brytyjską Uniwersytetu stanu Teksas w Austin; Kolegium Crayenborgha uniwersytetu w Lejdzie; Państwowemu Muzeum Morskiemu w Londynie; zarządowi Biblioteki Johna Cartera Browna; oraz zarządowi Biblioteki Jamesa Forda Bella przy Uniwersytecie stanu Minnesota. Treść wstępu została przedłożona jako praca warsztatowa w Ośrodku Historii Wczesnonowoczesnej Uniwersytetu Minnesota, a także wygłoszona w formie wykładu w Holenderskim Instytucie Zaawansowanych Studiów Humanistycznych i Społecznych (gdzie dzięki urokom otoczenia, sprawności personelu, życzliwości kolegów po fachu i kultywowanym w Instytucie szacunku dla produktywnego nieróbstwa znalazłem nieco czasu, by dokończyć korektę rękopisu). We wszystkich tych miejscach korzystałem ze szczodrej pomocy gospodarzy i uczestników dyskusji – zbyt wielu, abym mógł wszystkich wymienić. Gros książki powstało w bliskim towarzystwie okrytych patyną cegieł i sędziwych trawników Uniwersytetu Browna. Wiele zawdzięczam temu gościnnemu przybytkowi, ożywionej atmosferze Wydziału Historii, a także życzliwości i zainteresowaniu, którymi tak spontanicznie darzyli mnie ludzie związani z uczelnią. Rękopis przeczytała w całości moja żona, Lesley. Profesor Leonard Blusse, Willem Boot, Joyce Chaplin, Johan Goudsblom oraz Sebastian i Federico Fernández-Armesto czytali jego części. Dziękuję im za nad-

ludzką cierpliwość i chęć pomocy. Bardzo ważne poprawki zostały wprowadzone za radą moich wyśmienitych redaktorów, Billa Rosena i Tanyi Stobbs. Największy dług mam wobec rektora, dra Normana Fieringa, a także Rady, akademików oraz niezrównanego personelu biblioteki Johna Cartera Browna – ze znanych mi źródeł wiedzy to jest najbliższe ideału; szczególnie w zakresie porównawczych dziejów kolonializmu, z którym to projektem tam przybyłem. Niniejsza książka jest wysnutym z niego grubym i nadmiernie spętłonym wątkiem. Przekonałem się zresztą, że cała historia jest historią kolonizacji, wszyscy bowiem trafiliśmy tu, gdzie jesteśmy, z zupełnie innego miejsca.

Providence, Rhode Island
3 maja 1998

Poprawiono w Oksfordzie i Wassenaar
czerwiec–listopad 1999

* Stephen Bantu Biko (przyp. tłum.).